

NA ZAKOLACH RZEKI CZASU.

Podczas jednego ze spotkań misjonarzy pracujących na terenie dżungli nawiązałem stosunki przyjacielskie z misjonarzami z nad rzeki Napo, których to stacja misyjna znajdowała się na jednej z wysp na tej rzece. Poprzez radio byliśmy dość często w kontakcie. Ja w tym samym czasie pracowałem również w dżungli, ale nad rzeką Aguarico. Byliśmy od siebie oddaleni o spory szmat ziemi. Często ponawiali zaproszenie abym ich odwiedził. Okazja natrafiła się w momencie, gdy mi powiedzieli, że organizują wypad polegający na rozpoznaniu terenu i „przetarciu” nowej drogi prowadzącej do wspólnot Indiańskich położonych wzdłuż rzeki Tiputini. Takiej okazji nie mogłem zaprzepaścić.

Ich dom jest zbudowany tak jak wszystkie inne domy znajdujące się na tym terenie, czyli cały

szkielet (konstrukcja) jest zrobiony z różnych grubości pali z drzew palmowych licznie występujących na tym terenie. A dach jest pokryty z szerokich liści palmy, która zwie się conambo. Główne wejście do domu jest skierowane w stronę rzeki, a sam dom jest otoczony różnymi gatunkami drzew i krzewów. Koło domu istnieje miejsce, w którym rosną różne rośliny o właściwościach leczniczych, a które spożywa się jak herbatę.

Wielokrotnie siałem na pieńku drzewa opierając się o ścianę domu i popijając gorący napój przyrządzony z tychże roślin podziwiałem wspaniałe zachody słońca, gdzie czerwona ogromna kula chowała się za olbrzymimi drzewami, a jej czerwone światło, niby krew, napełniało rzekę.

O tej porze dnia nad rzeką przelatują czaple. Lecą gromadnie i niziutko jakoby biała plama, do swego miejsca gdzie spędzą noc na jakimś samotnie stojącym drzewie. Obok domu

zamieszkałego przez misjonarzy, w niewielkiej odległości znajdują się domy Indian a z ich wnętrz wydobywają się kłęby dymu, o zapachu suszonego mięsa lub napoju o nazwie chicha de yuca. Znać, że to już niedługo kolacja.

Rzeki, rzeczki, strumienie i wszelkie strumyczki to tyle samo znaczy dla dżungli, co żyły dla człowieka.

To już kilka lat, jak Angel, Jan oraz Inżynier (jak naprawdę miał na imię to było trudno sobie przypomnieć. Wszyscy wołaliśmy na niego tak zwyczajnie – Ingeniero, czyli Inżynier) podjęli decyzję i zamieszkali na Llunchi, czyli na jednej z największych wysp na rzece Napo. Kochają tę ziemię jeszcze nieujarzmioną i silną; kochają jej czyste powietrze i poranne śpiewy czy wrzaski budzących się zwierząt. Współżyją z tamtejszymi tubylcami, Quichuas z Amazonii, którzy są ludźmi bardzo towarzyskimi, wrażliwymi, przystępni jak dzieci, miłymi,

uprzejmymi, tworząc praktycznie jedną wielką rodzinę. Jednym słowem są wspaniałymi ludźmi. Wśród nich uczyli się poznawać, z upływem dni elementarne rzeczy, które pozwalają na przetrwanie, a raczej jak trzeba żyć bez żadnych zakłopotañ czy nadszarpywania sobie nerwów. Z dala od cywilizacji miejskiej, tylko bycie w kontakcie z otaczającą przyrodą, nabywa się szósty zmysł, który pozwoli rozpoznać i rozkoszować się wrażliwością tego środowiska.

W domu misyjnym jak i w wielu innych domach nie jest czymś dziwnym spotkać poprzywieszane na belkach niczym bombki choinkowe gniazda zamieszkałe przez osy, które również chętnie przylatują na posiłek siadając na talerze czy kubki z napojami. Można podziwiać, w jaki prosty sposób człowiek wraca do prostoty życia i przyjaznego współżycia z owadami i zwierzętami. Słońce, deszcz, błoto, anakondy, iguany, jaszczurki, nietoperze wampiry,

pochowane w najciemniejszych zakamarkach chaty bambusowej, mnóstwo gatunków mrówek, piranie... Cała gama heterogenicznych zwierząt, z którymi niejako zawieramy pakt harmonijnego współżycia sąsiedzkiego.

Na wyspie, okres letni jest bardzo przyjemny. Wiatry przechodzą przez całą wyspę powodując, że zaledwie czuje się niewielkie upały za wyjątkiem popołudnia, gdzie odczuwa się upał, podczas którego koszule stawiają się wilgotne od potu i przylegają do ciała.

Rzeka przed domem ma wygląd olbrzyma i sprawia wrażenie jakby wszystko wokół niej usypiało. Jest to czysta rzeka, w której występuje wiele gatunków ryb. Ojciec Juan bardzo lubi łowić ryby. W tym celu zakłada na nie pułapki robione sposobem Indian używając materiałów dostępnych na danym obszarze (my nazwalibyśmy to – kaszory)

Podczas naszego przygotowywania się na wyprawę w wolnych chwilach chodzimy po przepięknych plażach, których miękki drobniutki i złocisty piasek odbija się w promieniach słonecznych swym jaskrawym blaskiem. Wychodząc z łódki na plażę muszę natychmiast nałożyć na nogi obuwie gdyż piasek jest tak mocno nagrzwany, że można by było w nim ugotować jajko. No i właśnie po jajka właśnie tu przybyliśmy, wiedząc, że żółwie właśnie w tym czasie je tu złożyły. Ślady jeszcze są świeże tak, że nie jest aż tak trudno znaleźć miejsca złożenia jaj.

W niektórych miejscach potworzyły się niejako zakola wypełnione urodzajną ziemią, na których to skrawkach Indianie w odpowiednim czasie zakładają ogródki, w których uprawiają między innymi roślinę bulwiastą zwaną la yuca.

W okresie deszczowym, kiedy to błyskawice trzaskają nad szczytami gór andyjskich, rzeki

wzbierają i zatapiają wielkie obszary dżungli. Wyspy przemieniają się w bagna, których teren jest bardzo grząski. Kiedy znowu na niebie pojawia się ostre słońce, wszystko bardzo szybko schnie.

W porze deszczowej ustają prace polowe. W tym to okresie więcej czasu poświęca się na wyrabianiu koralu, koron i innych ozdób. Wyrabiają siatki czy hamaki, używając do tego sznurków zrobionych z liści palmowych.

Również łatwiej o zwierzynę, która gromadzi się w wyższych partiach uciekając z terenów zalanych wodą. Indianie są dobrymi myśliwymi i potrafią wytropić zwierzynę pomiędzy gęstymi zaroślami... gąszczami.

Kobiety również dbają o to, aby wokół domu nie było trawy, co pozwala na spostrzeżenie niemiłe widzianych dzikich zwierząt koło domu takich choćby jak żmije.

Z powodu bardzo ulewnych dni nie możemy wyruszyć na wyprawę. Pozostając w domu na wyspie, każdy z nas czymś się zajmuje. Ja,

staram się pomagać m.in. Janowi w robieniu i przygotowywaniu haków na wielkie ryby. Poprzedniego dnia na taki hak złapaliśmy sumę (Indianie mówią, że to bagre) o wadze około 50 kilogramów. Są to wielkie ryby. Bardzo lubię tę rybę, a szczególnie jak ona jest przygotowana na rożnie. Również podejmuję się wszelkich prac plecionkarskich, przypatrując się jak Indianie wyrabiają hamaki, siatki (la shigra) służące do przenoszenia jak i przechowywania różnych produktów, kosze z cienkich lian. Najlepiej, być może, bo to najłatwiejsze, wychodzi mi robienie koralu, do których wyrobu używa się różnobarwnych nasion, które dostarcza nam dżungla.

Kobiety również szyją lub naprawiają wszelką odzież.

Mężczyźni wiele czasu poświęcają na wyrabianiu dmuchaw (bodoquiera), łuków i strzał jak i robią bardzo długie i ciężkie dzidy, które sięgają nawet do czterech metrów

długości. Są one robione z twardego drzewa palmowego. Zajmują się wyrobem trucizny kurare, ale nie są w tym zbyt dobrzy, dlatego sprowadzają tę truciznę od swoich sąsiadów z Kolumbii.

Miasto Coca

Przed dżunglą znajduje się miasto Coca. Silne ulewne deszcze opóźniają nasz wyjazd. Czekamy również aż dotrze do nas Manuel, który jest z zawodu lekarzem i przebywa w Quito. Otrzymaliśmy drogą radiową wiadomość, że droga lądowa ze stolicy jest nieprzejezdna z powodu obsunięcia się ziemi. Naprawa potrwa przynajmniej trzy dni. Manuel ma też nam przywieść potrzebne rzeczy na tę wyprawę.

Punktem wyruszenia całej „ekspedycji” jest stacja główna misji znajdująca się w miejscowości Francisco de Orellana (popularnie to miasto wojewódzkie zwane jest jako Coca). Miasto Coca jest położone nad

rzeką o tej samej nazwie, czyli rio Coca, u jej ujścia do rzeki Napo.

Od poniedziałku do niedzieli w miejscowości Coca, zauważa się bardzo duży ruch i działalność gospodarczą. Główna ulica tego miasta, Alejandro Labaca, to jeden z typowych przykładów codziennego życia mieszkańców miasta. Osadnicy (Los colonos) – bo taką nazwą określani są Ekwadorczycy przybyli tutaj z innych regionów kraju – o odmiennych rysach niż tych od tubylców z Oriente, o zwyczajach jakże obcych dla tych panujących na terenie dżungli, którzy to właśnie tu znaleźli wszystko to, co migranci szukają kiedy opuszczają swoje rodzinne miejsce: źródło pracy i miejsce do rozpoczęcia nowego życia. Biegania w mieście jest spowodowana tym, że zawsze jest coś do roboty. Jedni podążają do którychś z obozów spółek naftowych; inni – choć to już rzadziej – przeprowadzają grupy turystów, którzy przybywają aby doświadczyć przygód tego skrawka dżungli amazońskiej, a

którą zostali urzeczeni poprzez programy przyrodnicze; jeszcze inni ubrani w garnitury z kaszmiru i białe koszule z długim rękawem oraz krawatem zaciśniętym pod szyją, to ci co pracują w różnych urzędach miejskich. Również wielu ludzi zatrudnia się jako tragarzy i pomoc przy załadowywaniu jak i rozładowywaniu wszelkich produktów, które przywozi się autobusami (przywożone są autobusami), ciężarówkami, pikap'ami czy też rikszami.

Miasto posiada przynajmniej 24 dzielnice, i choć jest otoczone dżunglą, nie posiada żadnych parków czy zieleńców.

Coca to małe miasto powstałe głównie za przyczyną spółek naftowych działających na tym terenie jak i przybyłymi osadnikami szukającymi pracy i lepszego jutra. Miasto posiada tylko kilka ulic pokrytych asfaltem. Resztę ulic można przyrównać do dróg polnych bez żadnych krawężników, które by oddzielały drogę od chodnika.

W mieście znajduje się również port rzeczny, który łączy to siedlisko miejskie z oddalonymi wspólnotami na terenie dżungli.

Styl budowy niczym nie różni się od architektury miasteczek ze strefy nizinnej (wybrzeża): domy z cementu dwu lub trzy piętrowe, które na parterze posiadają portyki, które stanowią przedłużenie sklepu, który znajduje się w tej części budynku. Ponad wejściem do sklepów, poprzywieszane lub wymalowane są wielkimi literami odpowiednie reklamy.

Obok tych „kamienic” zauważamy niezliczoną ilość domków parterowych „posklejanych” z różnych znalezionych materiałów, co świadczy o skromnej sytuacji ekonomicznej ich właścicieli.

Istnieją również dzielnice zamieszkałe przez rdzenną ludność Indian głównie quichuas i niektórych shuaras, którzy opuścili dżunglę, urzeczeni opowiadaniem przybyłych osadników z innych województw na temat wspaniałości cywilizacji.

Coca z racji tego, że stanowi centrum polityczne województwa, jest również celem wizyt Indian pochodzących z różnych grup etnicznych. Los Huaoranis widzi się jak odwiedzają burmistrza czy wojewodę, u których domagają się zaprzestania inwazji na ich tereny. Inni Indianie sprzedają dzikie zwierzęta przez nich upolowane, dzidy własnego wyrobu czy też inne ozdoby ciała.

Większość ludności jest pozbawiona podstawowych usług (kanalizacja, prąd, woda) a jednak miasto wciąż się rozrasta.

Późnym popołudniem, czyli około godziny czwartej, ruch w mieście znacznie maleje, ale koncentruje się na podwórkach, które zamieniają się w boiska, na których rozgrywa się popularne mecze ecuvoley (siatkówka, typowa gra ekwadorska). Piłka i jakaś tam siatka wystarczy, aby mieć praktycznie jedyną rozrywkę, która pozwala zająć resztę wolnego czasu.

Podczas rozgrywanych meczy, można też zauważyć istniejące zakłady pomiędzy ludźmi

pochodzącymi z różnych prowincji Ekwadoru: zauważy się lojanos, manabitas, latagungenos, guayacos, quitenos.

W poszukiwaniu *Los Tagari*

Główna ulica w mieście Coca, nosi nazwę jednego z księży misjonarzy: Biskup Alejandro Labaca. Historia tego zakonnika jest historią człowieka, który związał się z dżunglą i został przebitý włóczyniami z ręki jednej z grup Indian ginąc śmiercią męczeńską.

Ta historia zaczęła się już w roku 1965, a zakończyła się w 1987, w środku dżungli, na terenie nieujarzmionych Tagaeri.

W 1965 przybył Alejandro Labaca, misjonarz, vasco, który został wydalony z Chin. Z chwilą przybycia, zaczął wdrażać swój plan pracy duszpasterskiej „na rzecz najbardziej zapomnianych”, dlatego w tym celu wynajmował samolot za pomocą, którego chciał odnaleźć domy Indian Huaoranis.

Podczas jednego z takich lotów zwiadowczych, on i jego towarzysze,

zauważyli w jednym z otwartych miejsc w gęstej dżungli dziesięciu huaos.

Biskup Labaca przygotował i stanął na czele wyprawy po rzece Indillamas. W wyprawie uczestniczył jeszcze jeden z księży i 13 mężczyzn Indian quichuas. W tej pierwszej wyprawie do dżungli tropikalnej (deszczowego lasu), przemierzając bagniste tereny i wzniesienia, nie natrafili na ślady huaoranis.

W ciągu tych trzech ostatnich lat, Huaoranis zaatakowali kolonizatorów, stanowiska czy bazy, w których znajdowali się pracownicy spółek naftowych, a nawet i posterunki wojskowe. Jednym słowem wszystkich, których bez przyzwolenia i ich zgody wchodzi na te tereny.

Po następnych dwóch nieudanych próbach znalezienia Indian, misjonarze ponownie rozpoczęli dokonywać lotów rozpoznawczych nad terenem zajmowanym przez Huaoranis.

Po odnalezieniu ich szałasów, zrzucano podarunki zapakowane w opakowania plastikowe, w które wkładano również,

formatu pocztówkowego, zdjęcia misjonarzy, a szczególnie księdza biskupa. Zdjęcia były wkładane w tym celu, aby podczas już osobistych odwiedzin, zdali sobie sprawę, kto im dawał prezenty. Podarunki te były przyjmowane z wielką radością przez tubylców. Tylko w jednym przypadku, jedna z rodzin, prawdopodobnie tagari, odpowiadała strzelaniem z łuków i rzucaniem dzidami w kierunku samolotu czy helikoptera i zrzucanych i prezentów.

Po pewnym czasie przybyły nowe spółki naftowe i to zaniepokoiło biskupa Labaka, który wyraził się mniej więcej w ten sposób: „Nie wiem czy zdążymy na czas, aby nawiązać kontakt z Haoranis.... W obecnym czasie głównie chodzi o ich życie.... Spółka wszczęła badania lokalizacyjne nafty, i to właśnie na ich obszarze.

W 1976 roku przedstawiciele spółki naftowej zwrócili się o pomoc do misjonarzy, gdyż właśnie ich pracownicy, trudzący się w

robieniu przecinki (las trochias) zostali zaatakowani przez Indian.

Biskup Labaca przystał na propozycję i zamieszkał wraz z pracownikami zatrudnionymi przez przedsiębiorstwo naftowe w sercu dżungli. Byli to zwykli rolnicy i pracownicy fizyczni, którzy zatrudniali się do pracy, gdyż zarabiali trzykrotnie więcej niż w innych miejscach.

Na wiadomość o przybyciu do nich samego biskupa, uradowali się bardzo. Ich zatroskane i przelęknione twarze stawały się znacznie radośniejsze (weselsze) i ustępowało zdenerwowanie.

Ich obóz znajdował się nad malutkim strumieniem o bardzo krystalicznej wodzie. Brzegi tego strumienia łączyło specjalnie ścięte nad brzegiem drzewo, służące za most.

Pierwszy kontakt nastąpił po 14 dniach pobytu biskupa w tymże obozie.

- „...przyjaciel, przyjaciel”, wykrzykiwali w naszym kierunku trzej zupełnie nadzy

mężczyźni stojąc na moście, a w dłoniach trzymający swoje groźnie wyglądające dzidy.

Dreszcze...? Strach...? Radość...? Nadzieja...? Nie wiem, co właściwie czułem – opisuje w swoim dzienniczku osobistym biskup.

Biskup Alejandro poprosił jedną z rodzin Huao, aby przyjęli go i zaadaptowali jako swojego syna, członka rodziny. Potrafił on również całkowicie wnikać w ich kulturę. Nie bał się również w okresie przebywania w ich (bohios) szałasach – nie miał problemu, aby zdjąć swą odzież. Było to też gestem poszanowania zwyczajów.

Nauczył się języka huao, co pozwoliło również występowaniu w ich imieniu we wszelkich urzędach państwowych gdzie wręcz domagał się poszanowania ich własności do tej ziemi przez nich zamieszkałej i zajmowanej.

Nie prowadził działalności ewangelizacyjnej, nie nauczał podstawowych prawd katechizmowych, ani też nie udzielał sakramentów.

Na początku 1987 r. podczas prac rozpoznawczych w tzw. Bloku 17 (kwadracie), natrafiono niedaleko miejsca określanego Tiguino, na południe od Coca, zamieszkałe szałasami i jak się wydaje przez Tagaeri.

Biskup Labaca, już od przeszło dwóch lat szukał tej grupy Indian, aby nawiązać z nimi kontakt. Dowiedziawszy się o tym wydarzeniu, poczuł, że nadszedł czas, aby wybrać się do nich osobiście. Wewnętrznie czuł również, że może to być zbyt ryzykowne, zważywszy, że nigdy nie było z nimi kontaktu, że mogą go przyjąć jako obcego i niechcianego.

Jestem przekonany, że biskup Labaca podjął decyzję udania się do Tagaeri, po głębokiej refleksji i jej przemyśleniu. Widać, że wiele argumentów przemawiało, za tym, aby tam się udać.

Biskupowi w tej wyprawie towarzyszyła siostra zakonna Ines Arango.

Na samo miejsce zostali przetransportowani helikopterem należącym do tejże spółki naftowej. Z powodu braku miejsca na lądowanie, misjonarze zostali spuszczeni na linkach w niedalekiej odległości od szałasów, który zamieszkiwało około 50 Indian.

Po około dwóch godzinach, bo tak się umówili, miał po nich wrócić helikopter. Tym razem w helikopterze leciał również Ojciec Roque ze stacji misyjnej i jeden ze spółki naftowej. Helikopter zatoczył okrąg nad miejscem gdzie pozostawiono biskupa i kiedy znaleźli się nad samym szałasem, zauważyli, że kilka metrów od wejścia do szałasów, leżało martwe ciało biskupa, które było oparte o powalony pień drzewa, a głowa była odchylna bezwładnie do tyłu. Dwadzieścia pięć włóczni o grubości około 3 cm i trzech metrów długości o zakończeniu w formie żąbkowanej, przebiło jego ciało. Nieopodal leżało ciało siostry Ines, przebite siedemnastoma dziadami.

Wśród małp, el bocachico i la guanta.

Ktoś by pomyślał, że będąc na terenie dżungli, to w restauracjach, dość licznie występujących w mieście Francisco de Orellana, w godzinach obiadowych, w głównym menu będzie mięso jakiegoś egzotycznego zwierzaka, choćby to była małpa, czy guanta. Jednakże tak nie jest, nawet w chatach Indian, mięso czy przysmakiem, jakim są mózgi małpie, należą do rzadkości. W ostatniej dekadzie znacznie się zmniejszyła ilość występującej zwierzyny.

Gastronomia w mieście Francisco de Orellana (Coca), oferuje wyłącznie to wszystko, co się konsumuje w różnych regionach czy prowincjach kraju, znajdujących się na obszarze nizinnym czy w strefie gór andyjskich. Jest to spowodowane obecnością ludzi przybyłych z tamtych terenów. Najczęściej podawane jest danie zwane seco de gallina, a jest to nic innego jak wielka ilość ryżu, duży opływający tłuszczem soczysty

kawałek mięsa kurzego i do tego trochę surówki zrobionej z sałaty.

Ale w restauracji Sacha-Mikuna (w jęz. quichua w tłumaczeniu dosłownym = jedzenie z dżungli, albo jakbyśmy to lepiej powiedzieli „Dania z dżungli”), która znajduje się nad samą rzeką, można zjeść bardzo smaczne i autentyczne dania przygotowane z mięsa takich zwierząt jak choćby guanta, kapibara czy samej małpy. Również można zjeść potrawę zwaną maito de bocachico. Daniem tym jest ryba słodkowodna, którą gotuje się w dużych liściach w, aby smak pozostał niejako w środku.

Natomiast mięso guanta smakuje tak jak mięso od kury.

Również można rozkoszować się różnymi gatunkami bardzo tłustych larw, które używa się jako źródeł tłuszczu.

Do picia podaje się napój zwany la chicha, który zrobiony jest z rośliny bulwiastej la yuca, którą po ugotowaniu poddaje się procesowi

fermentacji. Również można rozkoszować się innym smacznym napojem zrobionym z chonta (owoc z palmy o tej samej nazwie). Są to napoje bardzo ważne w tej prowincji, a które spożywa się jako napoje orzeźwiające, gaszące pragnienie, służą jako pokarm, ale również, jako że jest to napój alkoholowy, częstuje się nim podczas wszelkich uroczystości plemiennych.

Wybiła godzina

Dzień pierwszy:

Po wielu przygotowaniach i opóźnieniach, jesteśmy wreszcie gotowi, aby wyruszyć. Cały bagaż wraz z łódką został dobrze ułożony na dużym samochodzie, którym pokonamy sporą odległość z Coca do rzeki Tiputini, która jest naszym celem, a która znajduje się około 60 km na południe. Nasza łódź, która została ochrzczona nazwą PUNCHAYANA (poranek), okazała prezentuje się na samochodzie. Utwardzona droga jest bardzo trudna i pełna wybojów. Siedzimy przy naszych bagażach i z

niepokojem patrzymy czy wszystko znajduje się na swoim miejscu, a za każdym razem, kiedy samochód podskoczy na wyboistej drodze lub jak przejeżdżamy przez mostki zrobione tylko z przerzuconych pali drzew niczym kładki, informujemy siebie nawzajem, że wszystko w porządku.

Po kilku godzinach wreszcie docieramy do miejsca, w którym znajduje się tartak, a który to tartak znajduje się nad brzegiem tejże rzeki. Jest tam sporo miejsca, to coś w rodzaju dużego placu, na którym można spokojnie manewrować samochodem i tak się ustawić, aby móc spuścić łódkę na wodę.

Zanim jednak przystąpimy do tego zadania, trzeba trochę posilić się i odpocząć.

Późnym popołudniem zaczęliśmy „budować” coś w rodzaju pochylni, aby móc zwodować łódkę. Całymi pracami kierował „Inżynier”. Już po kilku wydanych poleceniach, było widać, że człowiek zna się na tych sprawach.

Po odpowiednim zamocowaniu powrozów i ich naciągnięciu, zaczęliśmy opuszczać łódź po stromej i pochyłej skarpie do wody. Podczas tego wodowania, łódka zanurzała się dziobem w głębiny rzeki, nabierając przy tym sporej ilości wody. Kiedy była już na wodzie, zabrałem się za wylewanie z niej wody, po czym ułożyłem na dnie łódki deski niczym palety, na które zostanie złożony cały nasz ekwipunek.

Po zakończeniu tych ostatnich prac przygotowawczych zbieramy się wokół ogniska na wspólnej kolacji, którą przygotował nasz kucharz pokładowy Jan. Każdy z nas z wielkim apetytem rozsmakowywał się w smacznie przygotowanym posiłku, na który składało się mięso z ryby bocachico oraz pieczony banan.

Po kolacji jeszcze luźne rozmowy i jako, że każdy z nas czuł się zmęczony poszliśmy każdy do swego zrobionego na wolnym powietrzu łóżka, które oczywiście znajdowało

się na palecie z desek, chronione moskitierą i pod dużą płachtą niebiesko kolorowego plastyku, który chronił od podmuchów wiatru jak i przed możliwym deszczem. Plastyk oczywiście był zawieszony w kształcie rozstawionego namiotu czy szałas. Kiedy usypialiśmy, Angel jeszcze dorzucił do ogniska dość spore trzy kłody (belki) drzewa.

Dzień drugi:

Poranek jest miły. Nasz kucharz już krząta się przy ognisku. Pozostali udają się nad rzekę, aby się umyć. Przed zanurzeniem się w nurcie rzeki, dostrzegłem w ostatnim momencie, niejako przywartego do naszej łodzi, elektrycznego węgorza. Wołając Jana wskazuję ręką na ten piękny okaz ryby, która potrafi sparaliżować i uśmiercić swym rozładowaniem elektrycznym nawet dorosłego kąpiącego się człowieka. Ileż to nasłuchałem się opowiadań Indian, na temat, jak to węgorz elektryczny, płynąc koło swej ofiary, kilkakrotnie w pewnych odstępach czasu

wyładowywał swą energię powodując stopniowe jej uśmiercanie. Ale aby móc się umyć, trzeba był nam go odpędzić, a w tym celu posłużyliśmy się długim wiosłem. Kiedy zażywamy porannej toalety, Jan już wstawił wodę na kawę.

Jest zaledwie ósma rano, na zegarku Manuela, bo tylko on wziął ze sobą zegarek gdyż pozostali uznali go za zbyteczny, ale Manuel zawsze zważa na szczegóły. Angel i Jan instynktownie spojrzeli na słońce, kiedy Manuel powiedział, która jest godzina.

Kiedy jesteśmy zajęci układaniem i prawidłowym rozmieszczeniem bagażu na łodzi, pojawia się pewien brodaty człowiek, który pracuje w tymże tartaku oraz Indianin z plemienia Shuar. Obydwaj uważnie obserwują jak przebiegają nasze przygotowania do wyprawy.

- Kim oni są? – pyta Indianin tego brodatego.

- To księża ze stacji Misyjnej – odpowiada

- I nie zginą?

- Oni są większymi twardzielami niż my! – odpowiedział poważnie brodaty.

Inżynier i Kajetan układają, a raczej rozmieszczają starannie cały bagaż, zabezpieczając go ogromnymi płachtami, niczym prześcieradła, grubym plastykiem. Rzeczy najcięższe, takie jak silnik motorowy oraz paliwo w dużych kanistrach są chronione oddzielnie i ustawione na środku łodzi. Pięciu odważnych już zajęło swoje miejsca w łodzi. Angel ze swoim długim wiosłem koloru niebieskiego zajął miejsce sterownika. Przed nim zajęli miejsca Kajetan i Manuel, który wywołał spontaniczne śmiechy towarzyszy wyprawy, którzy widząc go wciśniętego pomiędzy bagaże z małym wiosłem usiłującego naśladować wielkich galerników. Jeszcze bardziej w przedzie, usadowił się Ingeniero a na samym dziobie dogodną pozycję zajął Jan, z bardzo solidnym szerokim wiosłem koloru świecąco-żółtego.

Zanim padła komenda, aby „odcumować” ludź, która była przywiązana do grubej gałęzi bardzo pochylonego drzewa nad urwiskiem, we wspólnej modlitwie ofiarowaliśmy Bogu nasze całe przedsięwzięcie wyprasząc dla nas błogosławieństwo i szczególną opiekę Matki Boskiej z Guadalupe.

W miejscu, z jakiego wyruszamy, nurt rzeki jest dość wartki. Obserwując zachowanie się łódki, można by rzec, że jak została uderzona prądem biegnącej rzeki i poczuła tę wartkość wody, aż ją trochę wzdrgnęło, zabujała się jakby już się rwała do drogi. Wydaje się być niecierpliwa, aby wyruszyć w drogę.

Tiputini prawdopodobnie jest wyrazem pochodzącym z języka Caypa. TIMBU to czas, TIN = co?, i w wolnym literackim przekładzie można by go przetłumaczyć jako „rzeka czasu”.

Po kilkudziesięciu minutach mijamy jeden z dopływów, którym jest Rumi Yacu (czyli kamienna rzeka).

Na rzece, łódka bardzo dobrze się sprawuje, a to świadczy o tym, że została zrobiona przez bardzo doświadczonych szkutników.

W pewnym momencie wszyscy wyciszamy się i kontemplujemy otaczającą nas przyrodę, która niejako pochłania nas swym pięknem. Wjeżdżamy w tunel utworzony z konarów drzew – zarośli, rosnących gęsto po obu stronach rzeki. Jesteśmy zauroczeni tym krajobrazem.

Wystraszone ptaki tam żerujące, wzbily się w górę robiąc prawdziwe zamieszanie.

Nasłuchujemy i patrzymy. Cisza zostaje przerwana przez Jana, który pyta: „... nie zauważyliście jakieś zwierzę, które by można upolować...?”

- Nic nie widzieliśmy – odpowiadamy prawie jednocześnie chórem.

- No, to będzie dziś tylko na kolację zupa czosnkowa.

Nad wodą w odległości około trzech metrów od łódki, równoległe z nami leci wielki niebieski motyl o przepięknej urodzie.

Niebieski jak lazurowe morze u góry, a pod spodem zupełnie czarny. Nie cieszyliśmy się zbyt długo jego obecnością gdyż na następnym zakolu rzeki poleciał prosto i został wchłonięty przez dżunglę.

Angel siedzący na rufie coś krzyczy. Manuel nagle złapał się mocno siedzenia. Czujemy jak nami wstrząsnęło. Przód łodzi zaczął się pomalutku unosić w górę. W tym momencie zdaliśmy sobie sprawę, że najechaliśmy na zatopioną olbrzymią gałąź drzewa, której tylko znikoma część unosiła się do tego poziomu, że na lustrze wody powstawało leciutkie wybrzuszenie.

Łódka nie przejdzie w tym miejscu. Musieliśmy szybko zareagować, bo woda już pomalutku wdzierała się do środka przez rufę. Wskakujemy do wody, która sięga nam prawie pod szyję. Manuel i Jan od strony rufy pchają do tyłu a reszta stara się, aby zepchnąć ją z tego konara i skierować na prawą stronę. Inżynier swym potężnym głosem rozda

komendy wykrzykując „...na trzy unosimy i pchamy na prawo...”.

To wydarzenie napędziło nam strachu, ale obeszło się bez żadnych strat ani szkód. Kiedy już wszystko mieliśmy za nami zaczęliśmy się śmiać i żartować jeden z drugiego. Radość i śmiech wywoływało każde wypowiedziane zdanie, określona sytuacja czy nawet komentarz.

Nie obwiniamy nikogo, chociaż wszyscy wiemy, że ten, co siedzi na dziobie jest odpowiedzialny, aby wypatrywał wszelkie przeszkody.

Po pewnym czasie znowu rzeka robi się coraz szersza dochodząca miejscami do około 150 metrów.

W około woda, las i cisza.

Na jednej z gałęzi dostrzegamy „krzyczącego” ptaka o pokaźnych rozmiarach. Manuel próbuje strzelić z dużej odległości. Rozlega się ogromny huk i ptak spada zraniony. Jan i Manuel wyskakują z łodzi kierując się w stronę ładu. Po chwili już ich zauważamy jak

wspinają się po małym wzniesieniu, na którym wśród krzewów zaplątał się zraniony ptak. Jan jednym uderzeniem maczetą od razu zabija upolowanego ptaka przynosząc do łódki. Jest to ptak drapieżny, koloru białego i ciemnej kawy o silnym dziobie podobnym do tego, jaki mają orły oraz silnych szponach. Uradowany Jan przytacza powiedzenie, które często powtarzają mieszkańcy znad rzeki Napo: „... ryba, która pływa i ptak, który lata jest dobry na patelnię...”. Od razu na miejscu, póki ptak jest jeszcze ciepły, obiera (obskubuje) się go z piór. Podczas obierania już sobie go wyobrażamy w garnku i jaka to będzie smaczna zupa. Angel mówi, że flaki ptaka, zachowa jako przynętę na ryby.

Położenie słońca wskazuje, że już mamy poza sobą trzy czwarte dnia. Pora, aby gdzieś się zatrzymać i rozbić obóz. Postanawiamy, że na najbliższej plaży zacumujemy. Po chwili wchodzimy w następne duże zakole, na którym znajduje się wielki rozłożyste

drzewo pokryte pięknymi soczystymi żółtymi kwiatami. Kwiaty te, są przysmakiem małp chorongos. Indianie znając bardzo dobrze, czym się żywi każde zwierze i gdzie ten pokarm rośnie, czyli znajduje w dżungli, to tam właśnie się udaje i zaczajony, czeka na swoją zdobycz.

Małpy właśnie przyszły na swą ucztę. Jan, strzelił do jednej z nich, celując z łódki, jednak nie trafił. Podniosły się przeraźliwe krzyki małp uciekających i chowających się w gęstych koronach drzew. Kiedy wypatrujemy małpy, nagle pojawiła się ciemna jak ołów chmura. Zaczyna padać. Rezygnujemy z dalszego polowania. Podróżnicy zaczynają odczuwać głód. Szukamy odpowiedniego miejsca, aby się zatrzymać. Pomimo, że deszczowa chmura, która zmoczyła nas do ostatniej suchej nitki i już gdzieś, zniknęła, to jeszcze spadają duże krople z liści drzew, sprawiając wrażenie, jakoby jeszcze padało. W niedługim czasie znajdujemy odpowiednie miejsce na rozbić obozu i odpoczynek.

Manuel i Angel zabrali się za ustawienie głównego namiotu, którym jest specjalny brezent. Ustawiają go w ten sposób, aby tworzyła spadzisty dach sięgający z jednej strony aż do ziemi. Brezent ten, jest zrobiony z materiału niczym tiul, lub inaczej mówiąc niczym nie różni się od materiału używanego do produkcji parasoli. Ale zanim rozstawili główny namiot, musieli jeszcze oczyścić całe miejsce z wszelkich gałęzi i powojów, które bujnie pokrywały to miejsce. Pozostali również wiedząc, jakie na nich spoczywają obowiązki przystąpili do ich realizacji. Zostały wyciągnięte z łódki nie tylko bagaże, ale i deski, które również są wykorzystywane jako podłoga-łóżko.

W tym samym czasie, Jan, który został okrzyknięty i „zaprzysiężony” jako kucharz podczas całej wyprawy, bez żadnej trudności radził sobie i wiedział, co ma robić. Menu na dziś jest proste i bardzo pożywne: sałatka z yuyo, zupa z upolowanego ptaka no i ryż. Jako deser pieczone banany w popiele.

Ciemności bardzo szybko zapadają. Jeszcze przed ostatecznym odejściem na spoczynek odmawiamy modlitwy. Śpiewane słowa psalmów w tej głębokiej ciszy są noszone przez wodę gdzieś tam daleko w dżunglę. W spontanicznych modlitwach dziękujemy Bogu i Matce Przenajświętszej za wszystko cośmy przeżyli i doświadczyli w minionym dniu. Podczas modlitw niejako spada na nasz obóz cały rój czerwonych pszczoł, które nie są groźne, ale denerwują (są upierdliwe). Również pojawiły się mrówki o nadzwyczaj wielkich głowach, a zwabione zapachem cukru, który troszeczkę się rozsypał. Jan łapie jedną z nich, która uczepiła się naskórka i nie wiem czy można powiedzieć, że zlizywała czy raczej zbierała mikroskopijne kryształki soli, pozostałe po pocie na ciele, instynktownie swymi potężnymi żuchwami wszczepiła się w skórę sprawiając ból jakby ukłuciem igły podczas szczepienia.

Obozowisko jest bardzo dobrze oświetlone przez unoszące się języki ognia. Pomimo tego, Angel po raz pierwszy (pragnie wypróbować) stara się zainstalować nowoczesną latarkę, czyli lampę na gaz. Ale jakoś mu się to nie udaje. Po kilkukrotnym zapalaniu, specjalna siateczka ze sztucznego włókna tylko się zaczerwieniała aż wreszcie uległa całkowitemu zniszczeniu. Na pomoc przyszedł Ingeniero, który kilkoma sprawnymi pociągnięciami uruchomił lampę, za co został nagrodzony obfitymi okłaskami. Jan natomiast, wierny swojej pasji łowienia ryb, znowu zawiesza haczyki umieszczone na grubej żyłce, którą przywiązuje w kilku miejscach do łódki. Manuel jeszcze idzie do rzeki, aby się umyć przed ostatecznym pójściem na spoczynek. Po wyjściu z wody dokłada jeszcze drzewa do ogniska. Kiedy już wszyscy pokładliśmy się w swoich śpiworach osłoniętymi moskitierami, ciszę nocną przerywają nam swym przeraźliwym metalicznym dźwiękiem las chicharras.

Dzień trzeci:

Następnego dnia, kiedy zaledwie zaczęło się rozjaśniać, już dochodzą do nas pojedyncze głosy ptaków, które z każdą chwilą przybierają na sile. Ognisko jeszcze się żarzy dzięki grubym i dużym kawałkom drzewa, które zostały dorzucone przed spaniem.

Rzeka trochę przybrała. Nikt z nas nie myśli w tym momencie, aby się umyć z powodu zmaconej wody, która zrobiła się koloru kawy. Jan dokłada drzewa do ogniska i zabiera się do przygotowania śniadania. W tym momencie zauważył, że, podczas gdy my spaliśmy, mrówki o wielkich żuwaczkach (szczękach) i zapewne takim samym głodzie, jakby nie jadły kilka dni, zrobiły wielkie spustoszenia w kuchni. Podziurawiły cały chleb. Poprzegryzały również grube torebki plastikowe, w których znajdował się cukier. Zachowały się tylko suchary i to, co jest przechowywane w puszkach.

Liczymy po cichu na to, że coś złowiło się na zastawioną przynętę. W tym celu Angel poszedł w kierunku łodzi, aby zobaczyć czy coś połknęło przynętę. Po chwili wraca z pustymi rękoma.

- Coś zjadło całą przynętę - powiada.

Zaczynamy żartować:

- to zapewne nurkujące mrówki, zwietrzyły gdzie zostało powieszzone mięso.

Pomimo, że mrówki oraz inne zwierzątka, których trudno było dojrzeć w ciemnościach, pozostawiły bałagan w nocy, to jednak Jan potrafił przygotować smaczne śniadanie.

Chleb, chociaż był podziurawiony i wyglądał jak ser szwajcarski, to spokojnie można go było nadziać na długi kij i opiec nad ogniskiem. W ten sposób mieliśmy wspaniałe grzanki.

Postanawiam zwinąć obóz i zatrzymać się przy najbliższym strumyku, aby zrobić sobie przyzwoite śniadanie, wypić smacznej kawy, a być może po drodze uda nam się coś upolować.

Najpierw jest złożony brezent, który rozkłada się na położone deski na dnie łódki. Teraz układa się pozostałe rzeczy. W środkowej części układamy nasze łóżka dobrze owinięte w plastik oraz pięć opakowań z żywnością. Po bokach są upychane wszelkie talerze, garnki, sztućce no i wszystko, co jest potrzebne w polowej kuchni.

Za tym ładunkiem umieszczany jest motor Yamaha o mocy 8 KM. Owinięty w plastik oraz 15 galonów benzyny już rozrobionej w odpowiednich proporcjach z olejem silnikowym.

Innymi narzędziami niezbędnymi na łodzi to pilnik, siekiera i apteczka pierwszej pomocy. To wszystko jeszcze raz jest dobrze owinięte i przykryte dużym czerwonym plastykiem.

Kiedy wszystko już jest spakowane, rozglądamy się po plaży czy czegoś przypadkowo się nie zostawiło.

Kiedy już wszyscy usadowili się na swoich miejscach, zauważyłem, że każdy z nas jest ubrany tak, jakby instynktownie, przepisane

mu było do swojego charakteru czy upodobania.

Angel na głowie ma nałożoną czapkę sportową z daszkiem, koszulka koloru beżowego, krótkie niebieski spodnie i laczki typu japonki. Angel prawie nigdy nie nosi kropusów. Pod ręką ma przygotowany groźnie wyglądający harpun oraz rifle Remington kalibru 22.

Manuel zabrał ze sobą kask rowerowy, a w tym momencie ubrał się w koszulkę koloru zielonego, spodnie sięgające do łydek i poszarpane u dołu. Na nogi ubrał długie kropusy. W zasięgu ręki również ułożył sobie dubeltówkę kalibru 16.

Jan używa czapki z daszkiem, koszulę koloru oliwkowego, która jest już bardzo znoszona oraz w tym samym kolorze krótkie spodnie. Nie nosi żadnego obuwia. Również przy sobie ma oparty o siedzenie karabin kalibru 16. Do paska ma przyczepiony woreczek, w którym przechowuje kilka nabojów.

Inżynier również chroni głowę nosząc czapkę z daszkiem. Koszula jego jest koloru

bursztynowego spodnie też typu bermudy a na nogach przysłowiowe pepegi. Obok niego widać kropusy, który jeden z nich przewrócony nabiera troszeczkę wody, która nagromadziła się na samym dnie łódki a w zasięgu ręki leży harpun o trzech ostrzach i dubeltówka.

Oprócz tego wszystkiego wszyscy posiadamy dobrze naostrzone maczety jak i noże myśliwskie.

Jan rozejrzał się po koronach drzew i bez wahania stwierdził, że jest ósma rano. Nie trzeba było długo czekać, aż Manuel z dokładnością szwajcarskiego zegarmistrza powiedział, że dokładnie jest ósma trzydzieści pięć.

Jesteśmy już na wodzie. Brzegi rzeki są porośnięte wysoką trawą, zarośnięte krzewami jak i wszelkimi porostami. Dżungla jest na swój sposób rozśpiewana, albo jak któryś z naszej grupy powiedział, dżunglę słychać tak jak wielką orkiestrę przed galowym występem, z których każdy z graczy, dostraja czy

sprawdza swój instrument. Oczywiście w tym momencie zbyt przesadzając, ale była to okazja, aby sobie pożartować a po chwili skupić się na modlitwie porannej i zaśpiewać dwie lub trzy, już dokładnie nie pamiętam, pieśni ku czci Matki Najświętszej.

Manuel podnosi się i z wielką uwagą obserwuje powierzchnię wody, która zdradza, że pod jej powierzchnią kryje się niespodzianka.

Ostrzega nas przed zbliżającą się przeszkodą:

- uwaga, przed nami konar drzewa.

Łódź pchana przez wartki nurt rzeki, niejako siada na zanurzonej palmie. Manuel i Jan odpychają z całych sił, zapierając się o burty, aż nagle Jan poślizgnął się i wpada do rzeki. Jako, że nie było żadnego niebezpieczeństwa czy zagrożenia dla życia, wszyscy zaczęliśmy się śmiać i żartować. Jan również zaczyna sobie żartować i w formie mimiki, jeszcze raz nam demonstruje jak to się stało, że nagle się znalazł w wodzie. Żałuje tylko, że zamoczyły mu się naboje, które teraz kładzie w

bezpiecznym miejscu wśród bagażu, aby wyschły. Jako, że jest już w wodzie, bierze siekierę i sprawnie jak prawdziwy drwal, zaczyna rąbać palmę. Pomimo fachowości rąbania, palmę nie jest tak łatwo rozłupać. W końcu palma została przecięta i łódka zostaje uwolniona, łagodnie spływając w dół rzeki.

Czym bardziej posuwamy się w dół rzeki, jej brzegi stają się coraz łagodniejsze, dotykając prawie lustra wody.

Słońce jest już ponad drzewami i silne jego promienie zalewają koryto rzeki. Na jednym ze wznesień krzyczy kilka małąp, a pod naszymi nosami niespodziewanie przefrunęła dzika kaczka. Lista nazw zwierząt, które obserwujemy jest bardzo długa, choćby ten dziwny paw, który majestatycznie siedzi na wertykalnie wystającym z czarnej mułowatej ziemi palu. Był on poza zasięgiem strzału, tak, że tym razem możemy tylko pomarzyć o jedzeniu pawia. No może trochę później

nadarzy nam się lepsza okazja. Teraz tylko obserwujemy go w ciszy.

Teraz decydujemy się zatrzymać, zauważywszy, że po prawej stronie burty znajduje się piękna plaża i nieopodal mały strumyk z krystalicznie czystą wodą, którą również uzupełnimy nasze zapasy do picia na dalszą drogę, i do gotowania.

Jan przygotowuje coś do jedzenia, na które mieliśmy bardzo smaczne patacones. rozkoszowaliśmy się również kawą z mlekiem skondensowanym.

W krystalicznej wodzie strumienia zauważyliśmy bardzo dużo ryb, niczym ławicę. Na ten widok ucieszył się Angel i już zaczął przygotowania na wielkie łowy. Sprawnie zarzuca żyłki z przynętą. Nylonowa bardzo gruba nić, przywiązana jest do łódki, ale spoczywa na dłoni, aby wyczuć, że ryba już jest na haczyku.

- złapałem, złapałem – krzyczy Angel.

- pokaż, co tam masz – jeden po drugim zwracamy się do Angela.

- jeszcze trochę takich ryb i będzie smaczny obiad i nawet może kolacja.

Tym razem trzeba było mu pogratulować. Połów ryb był znakomity. Kilkanaście sztuk bocachico i o dość znacznych rozmiarach bagre. Zaraz na miejscu zostały przygotowane do jedzenia. Przygotowaliśmy je na dwa sposoby w stylu ayampaco. Jedne zostały ugotowane a druga część, upieczona w żarzącym się popiele.

W połowie dnia, cisza, która nas otacza, została przerwana przez jakby metaliczne dźwięki, które wydają tysiące owadów zwanych la chichara, które są przywarte do każdego drzewa, do każdej gałęzi.

Ruszamy w dalszą drogę. Rzeka na tym odcinku ma wygląd bardzo ospałej.

Sielanka się zakończyła po przepłynięciu następnych trzech lub czterech zakrętów. Już straciłem rachubę. Wiedziałem, że ta rzeka jest kręta, ale nie wyobrażałem sobie, że aż tak jest „pokręcona”.

Spokojna tafla rzeki, robi się coraz bardziej falista. Prąd jej wzrasta. Każdy z nas już się dobrze usadowił ściskając w dłoniach wiosło. Teraz musimy się wykazać kunsztem marynarskim. Wiemy, co mamy robić, tylko musimy to zrobić sprawnie i bez żadnej pomyłki.

Rzekę trzeba znać i trzeba ją czuć. Tego dowiedzieliśmy się od Indian z naszych wspólnot. Trzeba wiedzieć jak się ona zachowuje, jak reaguje. Indianie, rozmawiają z nią, rozmawiają, kiedy wypływają, rozmawiają, kiedy łowią ryby, rozmawiają zawsze, kiedy się z nią spotykają.

Wiosłujemy jak „doświadczeni Indianie”, aby łódka nie została porwana bezwładnie w nurt, który mógłby rzucić ją na duże głazy, którymi usłana jest rzeka w tym miejscu, a na których z łatwością uległaby poważnemu uszkodzeniu a nawet rozpadnięciu.

Czujemy się pewnie, ale powaga sytuacji odzwierciedla się na naszych obliczach. W tym wypadku nie możemy pozwolić sobie na żaden błąd, który kosztowałby nas utratą łodzi a nawet życia.

Takie uskoki na rzece są dość częste a ich długość czasami sięga od stu do trzystu metrów. Łódka nabiera prędkości w głównym miejscu. Czujemy jakbyśmy minimalnie ocierali się o występujące z rzeki kamienie. Padają polecenia niczym komendy, aby mieć dominację nad łodzią, która już wchodzi w spokojny nurt, okręcając się łagodnie i ustawia dziobem w stronę brzegu.

Przed nami znajduje się malownicza wyspa, a po niej następna i następna. Nad naszymi

głowami przelatuje para czerwonych wielkich Guacamayos.

Jest godzina trzynasta trzydzieści. Zaczyna powtórnie padać. Jest to deszcz, który przygniata nas do naszych siedzeń. Jesteśmy okryci pelerynami. Widoczność jest bardzo ograniczona. Pozwalamy się nieść wolnemu biegowi rzeki. Tylko sternik obserwuje uważnie na to, co wskazuje Angel, który z kolei siedzi na dziobie i z uwagą przygląda się rzece. Wody zaczyna przybierać w naszej łodzi. W tych miejscach gdzie ona najbardziej zaczyna się gromadzić, zaczynamy ją wylewać, aby nie dopuścić, aby nasz ekwipunek, choć jest dobrze zabezpieczony, był w wodzie. Ale i to też dobre dla nas samych, bo przecież, po co mieć stopy w wodzie. Wszyscy wypatrujemy odpowiedniego miejsca, aby się zatrzymać. Po pewnym czasie, Angel energicznie wskazał ręką na lewy brzeg rzeki. Kiedy dopływamy do brzegu we wskazanym kierunku, Jan wyskakuje z łodzi

biorąc linę i wdrapuje się po stromej skarpie. Chce się dostać do najbliższego drzewa, aby przywiązać łódkę. Czerwona ziemia jest bardzo śliska i Jan ma wielki trudności z wdrapaniem się na skarpe. Już dwa razy się ześlizgnął. Jest cały umorusany w błocie.

Teraz następuje rozbicie obozu i zabezpieczenie rzeczy przed zamoknięciem. I tak jak zawsze, każdy wie, co ma robić. Jedni oczyszczają teren z wielkiej ilości powojów a drudzy wyciągają bagaż z łodzi.

Tym razem z powodu mokrych gałęzi (mokrego drzewa), posiłek będzie zrobiony na kuchence gazowej. Kucharz musi się pośpieszyć, bo jak zapadnie zmrok, to gaz będzie potrzebny do uruchomienia lampy.

Każdy z nas czymś się zajmuje. Kajetan i Angel, pomimo mokrej aury, nie poddają się i zaczęli gromadzić suche kawałeczki i kawałki gałęzi na rozpalenie ogniska. Z pomiędzy spróchniałych drzew, wydobyli sporą ilość suchych liści i mchu. To wystarczyło, aby rozpaść ognisko, a wokół niego poukładali

porąbane wilgotne kawałki porąbanych gałęzi. Widać po cięciach, że są sprawnymi drwalami. Również zainstalowali prowizoryczny przyrząd, na którym można było rozwiesić mokrą odzież.

Przed spaniem jeszcze planujemy następny dzień podróży. Któryś z nas zauważa, że zbyt prędko posuwamy się do przodu. Manuel wyciąga z plecaka mapę całej trasy, którą skopiował jeszcze przed wyprawą. Zaczęliśmy wspólnie rozprawiać, w którym miejscu możemy się znajdować. Pochylamy się nad mapą, aby ją dokładnie przestudiować. Każdy pragnie dojrzeć najdrobniejszy narysowany szczegół, aby móc porównać z tym, co dojrzał w czasie spływu.

Kiedy tak rozważamy, co pewien czasu zlatują się do światła liczne nocne ćmy, owady i komary.

Zaczynamy przypominać sobie wszelkie możliwe dopływy prawo i lewostronne a po długich rozważaniach doszliśmy do wniosku,

że jutro poszukamy odpowiedniego miejsca na dłuższy postój, przynajmniej jedno dniowy. Wszyscy czujemy ciężar tej wyprawy a godziny przesiedziane na burcie czy ławeczce odbijają się na nerkach, kręgosłupie oraz pośladkach.

Czwarty dzień:

Następnego dnia nasze myśli czy uwaga jest tylko skupiona na wybraniu odpowiedniego miejsca na zatrzymaniu się na jeden lub dwa dni.

Kiedy leniwie spływamy, Angel zarzuca żyłkę z przynętą, a my, co pewien czas spoglądamy do tyłu obserwując zachowanie się żyłki. Już zbliża się południe.

Niedziela

Główny namiot jest już postawiony. Teraz planujemy poukładać i zabezpieczyć pozostałe rzeczy. Manuel i Cayetano udają się w poszukiwaniu yuyo, które po odpowiednim przyrządzeniu jest dodatkiem do wszelkich

potraw. Angel jeszcze czyści obrzeża obozu. Jest to bardzo ważne, aby móc z łatwością dostrzec wszelkie nieproszone gady i płazy.

Obóz jest tak wymyślnie i praktycznie ustawiony, że wszystko, co zastaliśmy na plaży zostaje wykorzystane dla naszego użytku. Część kamiennej plaży posłuży nam jako suszarnia dla naszej bielizny. Trzy ogromne drzewa, które oszlifowane i wypolerowane przez wodę zostały zepchnięte na tę mieliznę i spoczywają w tym miejscu już od bardzo długiego czasu posłużą nam za pomieszczenie kuchenne. Nawet rozłożone konary posłużą to tego, aby zawiesić hamaki. Znalazł się długi kij do zawieszenia flagi ekwadorskiej, która dopiero teraz została wyciągnięta z dna któregoś z plecaków.

Miejsce, w którym znajduje się obóz tak naprawdę znajduje się na niewielkim wzniesieniu, oddalonym od łódki o około 50 metrów. Jest tam twardy grunt. Brzeg rzeki a raczej pierwszych kilkanaście metrów wychodząc z wody, to plaża usłana małymi

kamieniami. Dalej to już drobnutki piasek, po którym nie sposób chodzić bez jakiegokolwiek obuwia gdyż jest bardzo mocno nagrzaną i piecze w stopy. Niektórzy z nas, chodząc po piaskowej plaży, można by rzec, stają się twórcami nowego stylu tańca "break dance".

Znalazło się również odpowiednie miejsce, aby zawiesić dwa hamaki.

W tym miejscu czujemy się wygodnie i bezpiecznie a to sprzyja, aby wypocząć i nabrać nowych sił na dalszą drogę.

Wykorzystujemy czas również na wypranie bielizny i liczymy na uzupełnienie zapasów w naszej kuchni, tymi produktami, które dostarcza dżungla.

Dziś jest niedziela, kiedy nadszedł zaplanowany czas na Mszę świętą, siadamy na powykręcanych przez wodę pniach drzew. Angel zaczyna śpiewać:

Cai sachamanda Diosta Ilaquinchi,
Yacuta purij Diosta alabachu.
Indiraicu Diosta alabana can,

Indi allpata causachin.
(Z tej dżungli, wysławiamy Ciebie Boże
Rzeki i wszystko, co się w nich porusza
Niech wychwala Boga.
Niech wysławia Boga słońce, które ożywia
ziemię.)

Teraz wszyscy razem chórem śpiewamy:

Cai punchapi Dioshu cuintarishun;
Mana carullachu, caipi can.
Canta adoranchi, Yaya Dios,
Nuca yuyai canbama rin.
(Wysławiamy Ciebie Boże,
w tym dniu, który nam dajesz,
Ty, który jesteś nami.
Wielbimy Ciebie Boże Panie.
Nasze myśli podążają ku Tobie.)

Manuel bierze w dłonie Pismo Święte i na tej stronie gdzie się otworzyło, czyta następujący fragment: „Ty, więc moje dziecko, nabieraj mocy w łasce, która jest w Chrystusie Jezusie,

a to, co usłyszałeś ode mnie za pośrednictwem wielu świadków, przekaz zasługującym na wiarę ludziom, którzy też będą zdolni nauczać i innych...” (2 Tym 2,1 s)

Zapada cisza na osobistą refleksję... W zadumie, nasze spojrzenia kierowane są na skaczące płomienie ognia wydobywające się z rozpalonego ogniska, a po chwili zatapiają się w otaczającej ciemności jakby chciały kogoś tam dojrzeć, po chwili wzrok koncentruje się nad nocnymi ćmami, które nieostrożne przelatując nad ogniem zostają poparzone, wielokrotnie poopalone, spadają pomiędzy rozpalone żerdzie skąd już nie ma odwrotu. Ze wszystkich stron otaczają nas przeróżne dźwięki i śpiewy puszczy. Chciałoby się powiedzieć, że to ona wychwala swego Pana i Stwórcę. Po tej prywatnej refleksji, następuje spontaniczne dzielenie się swoimi rozważaniami, które kończymy modlitwą wiernych i pieśnią. Tym razem zanuciliśmy pieśń, którą tak bardzo lubił śpiewać śp.

Biskup Alejandro Labaca, a która to pieśń mówi, że dżungla jest moim domem.

Sachapi canquimi, Apu Dioslla. Canta uyacuni tamia shamucpi.

Huairipi, yacupi, allpapi tlacunqui. Canta aduranimi ñuca shuncupi.

Aleluya, Jisus. Canta quirinchi. Amen. Canta llaquinchi, Amen. Aleluya. Amén.

Dżungla jest twoim domem, twarz promienna jak słońce. Słyszę jak nadchodzisz Panie, w szumie deszczu.

Wiatr, rzeki, morza, są w Twoich dłoniach. Moje serce pragnie się przytulić.

Alleluja, Jezus, wierzę w Ciebie, Amen. Moja nadzieja w Tobie, Amen, a poza tym kocham Cię, Boże, Amen.

La selva es tu mansión, el sol tu faz. Te oigo venir. Señor, la lluvia al sonar.

El viento, el río, el mar, en tus manos están.

Dentro, mi corazón te quiere albergar.

Aleluya, Jesús, yo creo en Ti, Amén. Espero en Ti, amén, Te amo, Dios. Amén.

Czując zmęczenie, jeden po drugim idziemy przygotować sobie łóżko okrywając je moskitierą.

Daleko od cywilizacji przestałem zastanawiać się, który to dzień, zaprzestałem już liczyć jak długo jesteśmy w podróży.

Patrol wojskowy

Słońce zaczęło przygrzewać niemiłosiernie. Odpoczywamy pod gałęziami rozłożystego drzewa, które to gałęzie służą nam jako parasol. Z dala dochodzą nas odgłosy łodzi motorowej. Potężny warkot jest coraz silniejszy i bardzo szybko zbliża się w naszym kierunku. Zamieramy w bezruchu i jak kameleony pragniemy być niewidoczni. Nikt z nas się nie poruszył ze swojego miejsca, ani nie pomachał ręką na przelatującego środkiem rzeki ślizgacza. Instynktownie nasze głowy obracają się w kierunku oddalającej się łodzi, która znika za zakrętem rzeki. Łódź tak szybko

wchodzi w zakręt, że aż się kładzie na prawej burcie. W naszych mózgach kołuje się wiele pytań, które nagle ktoś wypowiada na głos:

- kim byli?

- czy nas zauważyli?

- co oni szukają na tej zapomnianej rzece?

Po kilku minutach słyszymy ponownie ryk silników, ale tym razem pracują na znacznie wolniejszych obrotach. Nawet, zdaje nam się jakby w ogóle były wyłączone. Bacznie wpatrujemy się w ostro kolisty zakręt rzeki. Nagle się wynurzyli i znajdują się po naszej stronie, trzymając się bardzo blisko lewego brzegu rzeki. Teraz ich wzrok jest skierowany dokładnie w naszym kierunku. Już wiemy, że łódź należy do wojskowej straży granicznej. Żołnierze znajdują się w postawie bojowej. Ich ślizgacz operacyjny, wolniutko zbliża się do gałęzi rozpostartego drzewa, pod którym właśnie się znajdujemy. Nastąpiła chwila niepokoju i niepewności. Główny dowodzący z żołnierzy podniósł rękę na znak zatrzymania łodzi. Była to potężna łódź motorowa koloru

ciemno-zielonego. Na dziobie widniał czarny napis w języku quichua – APAY, co można przetłumaczyć jako - nosić.

- Wypłynąć – padła komenda pod naszym adresem.

Leciutko odpychając się rękoma od konarów drzew wypłynęliśmy na otwartą przestrzeń.

Po spotkaniu się twarzą w twarz, dowodzący łodzią zwiadowczą jak i pozostali, zsalutowali mówiąc prawie jednym głosem.

- Buenas tardes padrecitos... to znaczy – dobry wieczór Ojcom misjonarzom.

- co robicie w tych stronach?

- szukamy innej alternatywy, aby dotrzeć do wspólnot Indian zamieszkujących ten odległy teren położony na krańcach naszej stacji misyjnej.

- słyszeliśmy o waszej podróży przez radio, ale nie spodziewaliśmy się Was w tym miejscu.

- Czekają na Was w Rocafuerte i liczą, że na piątek już się pokażecie na stacji misyjnej.

Byli to żołnierze z garnizonu granicznego z Rocafuerte, którzy patrolują na tym odcinku rzekę Napo i jej dopływy.

Po serdecznym powitaniu, nagle za naszymi plecami również dobiegają głosy powitania od dwóch innych żołnierzy, którzy wcześniej wyskoczyli ze ślizgacza i podeszli (zaszli) nas od tyłu. Byli to młodzi chłopcy Indianie Quichuas.

Wszyscy byli prawdziwymi marins w pełnym szyku bojowym. Po ich ruchach i zachowaniu było widać, że są dobrze wyszkoleni i zaprawieni w warunkach puszczy.

- Czy macie wystarczającą ilość żywności – zapytał dowódca. Pytanie było raczej z grzeczności niż z potrzeby, bo wiedział, że radzimy sobie doskonale w każdych warunkach.

- Dziękujemy. Jakoś sobie radzimy – odpowiedział Angel.

B u r z a

Po południu Angel bacznie obserwując niebo i zbierające się chmury powiedział:

- dziś będziemy mieli deszcz i być może będzie burza.

- ja też coś tak czuję, bo od samego rana „łamię mnie w kościach” – odrzekł Manuel.

- w kościach cię łamię ze starości – śmiejąc się, skomentował Jan.

- popatrzcie na nisko latające ptaki, a to pewny znak, że idzie na deszcz – dorzucił Cayetano.

Burze i silne opady deszczu są bardzo częstym zjawiskiem na terenie dżungli, aby nie powiedzieć, że prawie codziennym w okresie zwanym el invierno, czyli „zimowym”.

Zapanowała całkowita ciemność. Patrząc na horyzont, widać, co pewien czas, jak tam się błyska.

Po upływie kilku godzin bardzo wyraźnie słychać jak z oddali nadchodzi bardzo silny deszcz. Duże krople wody tak silnie uderzają o liście, że wydawałoby się słyszeć jak one, czy w ogóle cała przyroda, zaczyna z bólu

krzyczeć. Niebo jest rozdierane błyskawicami.

Pioruny wałą nieopodal, że aż ziemia się trzęsie. Takie wydarzenie nie należy do przyjemnych. Patrzymy na otaczające nas drzewa i nikt z nas nie dopuszcza do siebie myśli, co by się stało jakby piorun uderzył właśnie w któreś z tych drzew.

Wyczuwamy, że teren, na którym rozbiliśmy obóz zostaje pomalutku zalewany wodą. Z powodu ciemności jesteśmy zdezorientowani i nie wiemy czy plaża została zalana przez przybranie wody w rzece, czy też woda wypływa z dżungli kierując się w kierunku rzeki.

Manuel zarządza stan maksymalnego pogotowia. Sam udaje się w kierunku rzeki, aby sprawdzić czy łódź jest jeszcze na miejscu.

- niech ktoś przyjdzie pomóc – krzyczy Manuel

Na pomoc, jako że był najbliższy, pośpieszył Cayetano.

- złap mocno linę i ciągnij ile masz sił – mówi Manel.

Zorientowałem się, że powalony od jakiegoś tam czasu konar drzewa, do którego była przywiązana łódka, teraz pod wpływem wielkiej ilości wody mógł w niewielkim czasie być porwany przez nurt rzeki. To było wielkie zagrożenie dla naszej łódki.

Na pomoc jeszcze przyleciał Angel. Wspólnymi siłami udało nam się przymocować łódkę do drzewa, które stało majestatycznie nieopodal na wzniesieniu.

Wracamy, aby się schronić pod dach brezentowy, który swoim rozmiarem dawał nam bezpieczne schronienie przed ulewnym deszczem. Już nie było mowy, aby położyć się spać. Cayetano natychmiast wyciągnął najbardziej suchą bieliznę, jaką miał ze swego plecaka i zaczął się w nią ubierać. Tak samo uczynił Juan, który zaczął ściągać z siebie przemoczoną do suchej nitki bieliznę.

Nie wiemy, która może być godzina. Ciemności zalegają całą okolicę. Jestem

przekonany, że każdy myśli o tym samym, aby jak najszybciej rozwidniało, aby rozpaść ogień i aby wyszło piękne i złociste słońce, aby móc dobrze wysuszyć całą bieliznę. Pomimo jakby się mogło wydawać ponurej sytuacji, humor nas nie opuszcza. Manuel spostrzega:

- z powodu takiej ulewy, to nawet komary i wszelkiego rodzaju ćmy nie przyleciały do naszego obozu.

- na pewno wystraszyły się błyskawic – komentuje Angel.

Huaoranis

Spotkanie z Huaoranis nie należą do łatwych, zważywszy, że jest to plemię pół koczownicze. Do każdego obcego odnoszą się z wielką rezerwą. Wiemy, że istnieje poważny konflikt pomiędzy władzami rządowymi a Indianami w sprawach ziemi, to znaczy terenów, które od zarania są ich własnością, a teraz są one im odbierana i oddawane w użytkowanie obcym. Wiemy, że nawet istnieje konflikt pomiędzy

samymi Huaoranis, to znaczy pomiędzy tymi, którzy są bardziej ugodowi, a tymi, którzy nie chcą z nikim rozmawiać. Wiemy, że na tle tych sporów, w dżungli, ginie od strzał jak i włócznie Indian, wiele niewinnych ludzi.

Już od dłuższego czasu czujemy jak ktoś nas obserwuje, ukrywając się wśród gęstych zarośli, którymi pokryte są brzegi rzeki. Podążając w tym samym kierunku naszego splotu, w dół rzeki.

- patrzcie jak tam nagle spłoszyły się ptaki wznosząc lot ponad wielkimi konarami drzew – zauważył Manuel wskazując palcem na prawy brzeg rzeki.

- to zapewne jakieś zwierze drapieżne wyszło na polowanie.

- o tej porze dnia to jest niemożliwe

- być może są to pracownicy ze spółek naftowych.

- a ja bym raczej opowiadał się za tym, że są to Huaoranis. Przecież oni są właścicielami tych terenów. – stwierdził Manuel.

- przyjmując, że masz racje Manuel, to dlaczego nie pokazują się na brzegu rzeki lub nie przyszedli do naszego obozu podczas naszego postoju...?

- oni nas obserwują i to im wystarczy.

- jak sądzisz Manuel, mogą to być wojownicy Tagaeri ? – pyta Cayetano.

- nie sądzę – odpowiada po krótkim namyśle Manuel. Oni poszli na południowy wschód, nad rzekę Curaray.

Przed nami perspektywa postoju. Dostrzegamy odpowiednie miejsce. Prawie jak przystań. W oddali zauważamy dwie postacie. Już wiemy, że to nikt inny jak Huao. Dobijamy bez pośpiechu bacznie obserwując ich zachowanie. Nie uciekają ani się nie ukrywają. To dobry znak.

Jesteśmy przekonani, że znajdujemy się w miejscu, w którym osiedliły się rodziny Inihua i Cai.

Docieramy do miejsca, w którym znajdują się dwie malutkie jak łupina łódki wyciosane z jednego kawałka drzewa. Jest to bardzo wąska kamienna plaża u podnóża piaskowo gliniastego urwiska wysokości około trzech metrów, które zostało odarte z wszelkiej roślinności podczas wezbrań wody w rzece.

Nasze przypuszczenia okazały się słuszne. To Inihua i Cai. Po przywitaniu się dowiedzieliśmy się o sytuacji, która panuje wśród ich rodzin.

Inihua powiedział nam o wielu chorych w ich rodzinach.

Natychmiast po wypakowaniu najpotrzebniejszych rzeczy postanawiamy ich niezwłocznie odwiedzić i przekonać się na własne oczy o stanie chorych.

- ile czasu potrzeba, aby dojść do boios (szalasów) – pyta Manuel.

- to niedaleko stąd – pada odpowiedź ze strony Inihua.

- jakie objawy choroby....?

Inihua nie wie co ma powiedzieć. Manuel stara się to uprościć i zadaje pytania wskazują na daną część ciała lub w formie mimiki:

- wymioty

- tak

- ból głowy,

- tak

- biegunka,

- tak

- bóle w stawach... tak... odpowiada po każdym pokazie – pytaniu Inihua.

- więc ruszamy natychmiast zdecydował Manuel.

Angel jest praktycznie jedynym, który najwięcej może się porozumieć z Huao, dlatego też pójdzie z nami. Rozbiciem obozowiska nad brzegiem rzeki przy łodziach zajmie się Inżynier i Jan.

Zagłębiamy się w gęstą dżunglę. Czuję chłód na ciele. Podejrzewam, że uszliśmy już około 5 kilometrów. Teren jest bardzo grząski, co utrudnia poruszanie się. W pewnym momencie tracę równowagę. Ratując się przed upadkiem łapię się konaru drzewa i nagle poczułem silne ukłucie w dłoń. Jeden z kolców przebił mi skórę i dość głęboko utkwiał pod skórą. Zaczynam krwawić. Manuel zajął się usuwaniem kolca a Inihua po kilku chwilach przyniósł garść liści, które po przeżuciu zrobił papkę i nałożył mi ją na ranę, po czym z innych liści palmowych zrobił opaskę-bandaż zawiązując rękę. Ruszamy dalej.

Po pewnym czasie zauważyłem, że Inihua szybko się oddala. Jest to znak, że już się zbliżamy do szalasów (boios), a jego wyprzedzenia ma na celu poinformować, że przychodzi z misjonarzami.

Po dotarciu do boios czekamy na zewnątrz, aż zostaniemy oficjalnie poproszeni, aby wejść. Na zewnątrz wychodzą ci, którzy jeszcze nie

zostali obezwładnieni przez chorobę. Zauważa się wielką radość z naszego przybycia. Oni wierzą, że misjonarz ma bardzo dobre lekarstwa i jest w stanie im pomóc.

Po przywitaniu, wchodzimy do środka.

Rozsiadamy się na krótkich kłodach tuż przy żarzącym się palenisku. W środku porozwieszane są hamaki, naliczyłem ich aż osiem, a na każdym z nich leżą chorzy. Szalasy jest pełen grillos, chicharas, pcheł zwierzęcych i innych insektów. Na specjalnie zawieszonych kijach siedzą trzy papagayos. Dzieci bawią się małą małpką, która służy im za maskotkę. Szalasy są zaniedbane i nie pozamiatane. Jako, że te czynności należą do kobiet, a wszystkie z nich leżą chore, mężczyźni tego nie zrobią.

Inihua i Cai nie wchodzi do środka. Zostają raczej przy wejściu. Widać, że się boją. Przyczyną jest oczywiście panująca choroba, na którą zapadło tylu członków rodziny. Wierzą, że choroba zadomowiła się w tym miejscu i nie chce ich opuścić.

- a gdzie są pozostali wasi krewni – pyta Angel

- przenieśli się – mówi Pahua, żona Inihua

- bali się choroby – dodała Baganey.

- od dawna już nie mamy z nimi kontaktu.

Manuel proponuje, aby to miejsce zostało wymiecione i aby zrobić większy ogień, który pozwoliłby na osuszenie tego miejsca jak i spowodowaniu oczyszczenia z jak największej ilości insektów. Po przebadaniu chorych Manuel nie jest w 100% pewien, że są to typowe objawy malarii, tak jak to przypuszczał na początku. Zaczyna wypytywać się o rodzaj i czas spożywania poszczególnych potraw.

Manuel chce dotrzeć do pozostałych

- jutro z samego rana pójdę ich zobaczyć – zapewnia.

- dobrze, ale to jest bardzo daleko

- jak długo będziemy iść...?

- więcej niż pół dnia drogi.

- wzdłuż rzeki? – dalej pyta Manuel

- nie, w stronę Napu, odpowiada Inihua wskazując ręką kierunek, w którym będzie trzeba iść.

- ilu was tam jest?

Inihua zaczyna wymieniać wszystkich po imieniu. Jeśli dobrze liczyłem, to wymienił pięć rodzin.

Jeszcze wieczorem omawiamy sprawę wymarszu. Zostaje podjęta decyzja, że Cai wróci rano do łodzi, aby powiadomić Inżyniera i Jana o całej sprawie, a Inihua idzie dalej z nami. Oprócz tego będzie nam towarzyszyć dwoje młodzieńców, synowie Inihua – Nenkivi i Huane - którzy mają, pierwszy 12 a drugi 14 lat. Dobrze, że z tymi młodzieńcami można się więcej porozumieć. Oni chodzili już do szkoły, którzy nie ukończyli z niewiadomych dla mnie powodów. Są radosnymi żartownisiami.

Zaczyna świtać. Pierwszy z szałasu wyleciał na zewnątrz Nenkivi. Nie trwało długo jak zaczął wzywać swego brata Huane, ale z szałasu wybiegli wszyscy, którzy mogli chodzić. Okazało się, że nieopodal na pobliskim drzewie znalazł się trzy metrowy

wąż boa owinięty na grubej gałęzi, sposobiący się, aby wspinać się na wyższe partie drzewa. Nie wiem czy nas zauważył, w każdym bądź razie nie robił sobie nic z naszej obecności, tylko swoim rytmem wspinał się coraz wyżej po upatrzonej sobie drodze.

Po śniadaniu, na które składał się tylko pieczony w gorącym popiele banan i ugotowana yuka, ruszamy, aby dotrzeć do pozostałych Huao. Słońce zaczyna wychodzić z poza chmur. Radujemy się tym faktem gdyż droga nie będzie tak uciążliwa.

Podczas marszu, czym bardziej na północ, teren staje się bardziej podmokły. Cayetano podążając za Nenkivi, stara się stawiać swoje stopy w te same ślady pozostawione przez niego. Nie zawsze mu się to udawało, co powodowało, że zatapiał się po kostki w grzęzawisku. Taki niezdarny marsz kosztował go więcej wysiłku i zaczął odczuwać duże

zmęczenie. To też sprawiało, że nasz marsz znacznie się opóźniał.

Inihua już od pewnego czasu jest jakoś dziwnie niespokojny. Co jakiś czas przystaje na chwileczkę rozglądając się, nasłuchując. Zadziera nos i nozdrzami głęboko wciąga powietrze, w którym powiewie wychwytuje wielką gamę zapachów, pochodzących nie tylko od kwitnących roślin, ale i zwierząt, a które tylko on potrafi ją odróżnić.

Wszystkimi zmysłami, które u tych ludzi są znacznie bardziej wyostrzone niż u ludzi z miasta, czuje niejako oddech dżungli na sobie, jest niejako jej częścią.

Zdajemy sobie sprawę, że Inihua wyczuwa obecność jakiegoś zwierzaka. Przygotowuje dmuchawę (bodoquera) załadowując ją strzałą, której jeden koniec jest owinięty małą kuleczką waty, a sama strzała jest pokryta trucizną kurare. Strzała jest długości około 35-

40 cm, a jej końcówka tak ostra, że z dużą łatwością przebija skórę zwierzaka.

Inihua oddalił się od nas znikając wśród zarośli i drzew. Za nim podążył Nenkivi. Nie wiemy, kiedy wróca. Nie możemy tutaj beczynnienie na nich czekać. Podążamy dalej prowadzeni przez Huane. Huane jest niskim i krępy młodzińcem o pogodnym usposobieniu. Jak wszyscy mężczyźni posiada długie czarne włosy, które w blaskach promieni słonecznych błyszczą odcieniem kruczych piór. Kiedy się uśmiecha można zauważyć stosunkowo krótkie, ale bardzo silne uzębienie. Jego stopy są małe i płaskie, co świadczy o tym, że te stopy nigdy nie widziały obuwia oraz robią się płaskie ze względu na długie dystanse, które już pokonywał w swoim młodzięcym życiu. Takie szerokie stopy umożliwiają lepsze utrzymywanie się na terenie bagnistym. Ze sobą niesie dwie, trzy metrowe włócznie zrobione z palmy chonta.

Skupieni na marszu nie zdaliśmy sobie sprawy z tego, że tuż za nami podąża Inihua i Nenkivi z upolowaną małpą charango.

Przed nami wylania się rzeka Cahuimeno, do której docieramy. Z szalaśców wychodzą Nampahue i Omare. Są bardzo słabi. Dzieci jeszcze słabsze w silnej gorączce leżą w hamakach.

Nampahuoe – wydaje się być najstarszym z grupy mężczyzn. Jest raczej człowiekiem wysokim, szczupłym, włosy już zachodzące siwizną, bardzo rzadka bródka.

Jego żona Omare, jest bardzo sympatyczną kobietą i znacznie starszą od swego męża Nampahuoe.

Moją uwagę przyciąga bardzo charakterystyczne wybrzuszenie wskazujące na przepuklinę, która jak widzę nie przeszkadza jej w wykonywaniu codziennych czynności.

Podajemy pierwsze kroki zaradcze. Już z góry odrzucamy myśl, aby ich przetransportować do najbliższego szpitala w Rocafuerte. Aby móc to zrobić potrzebny jest przynajmniej tydzień czasu, a tym nie dysponujemy w takim zagrożeniu, jakie widzimy. Wiemy również, że Huaorani są ludźmi niezależnymi, wolnymi, kierującymi się własnymi prawami natury, a metysów i ludzi białych, czyli wszystkich nie należących do ich rodziny nazywają cohuori, ludożercami, dzikimi, którzy wypijają krew Huao, których jeszcze do niedawna było dużo, bardzo dużo, a teraz jest ich mało.

Na głównej stacji misyjnej zaniepokojeni naszą długą nieobecnością, poprosili straż graniczną, aby wysłali ślizgacz w rejon ostatniego spotkania z misjonarzami.

Po dotarciu następuje nawiązanie łączności ze stacją misyjną. Wyjaśniamy powody naszego opóźnienia. Zostaliśmy

zaopatrzeni w nadajnik radiowy. Przez radio prosimy o: lekarstwa, duży namiot, i inne najpotrzebniejsze rzeczy.

Nasza pierwsza baza.

Teraz dopiero się zaczyna. W pierwszej kolejności Inżynier i Jan rozpoczęli instalować obóz – stację misyjną. Wszystko jest dobrze i praktycznie zaplanowane, zabezpieczone i rozmieszczane:

- namiot,
- kuchnia,
- miejsce na radio, jako środek łączności z główną stacją misyjną.
- przystań.

Mijają kolejne dni. Nie trudno nas było znaleźć, a w szczególności, gdy nad naszym obozem powiewa dumnie, duża trzykolorowa, narodowa flaga Ekwadoru.

Nasz pobyt a zarazem ta specyficzna misja na terenie zamieszkałym przez Huaoranis nieoczekiwanie się przedłuża.

Dzięki Inżynierowi i Janowi, nasza główna baza jest dobrze zaopatrzona i ma stały kontakt radiowy z główną misją. Nawet w stolicy Ekwadoru Quito nas mogą usłyszeć.

O każdym naszym przemieszczeniu się w inne miejsce powiadamy tych, co są w bazie. W tym celu wysyłamy jakiegoś młodzieńca z rodziny, którą odwiedzamy, aby zaniósł wiadomość do obozu głównego. W bazie, na znak, że wiadomość do nich dotarła, obdarowują Indian, przesyłając przez przybyłego „kuriera” prezenty. Kobiety najbardziej czekają i są zadowolone jak dostaną aluminiowe garnki do gotowania, talerze, miseczki, łyżki, noże, lusterka, korale itp. Nawet pytają się czy mamy świnki, bo pragną rozpocząć hodowlę.

Mężczyźni natomiast pragną otrzymać: siekiery, maczety oraz pilniki do ostrzenia. Ponadto żyłki do połowu ryb, naboje do jedynej strzelby jaką posiadają, latarki i baterie. Najbardziej proszą o zwierzęta domowe: psy, kury, a z drzew owocowych to oczekują na sadzonki drzew cytrynowych.

Rodziny, które w tym czasie odwiedzamy i poznajemy są rodzinami małodziejnymi, czyli posiadający niewielką ilość dzieci. Najwyżej mają od trzech do czterech dzieci.

Poszczególne grupy rodzin w liczbie 8 – 15 osób mieszkają oddalone od siebie od 3 do 7 kilometrów.

Tym razem wyruszamy, aby odwiedzić rodzinę Huane.

Tak jak za każdym razem każdy z nas sprawdza, czy wszystko zostało starannie zapakowane. Oprócz osobistego bagażu, tym

razem bierzemy ze sobą prezenty, aby nimi obdarować kobiety i mężczyzn.

Po przybyciu do szałasów zamieszkałych przez rodzinę Huane, zostaliśmy bardzo serdecznie powitani i przyjęci.

Robi się późno. Trzeba przygotować miejsce na spanie.

Biorą siekiere i maczetę i zapraszają mnie abym poszedł z nimi. Pomyślałem sobie, że chcą abym im pomógł przynieść drzewo na ognisko.

Podziwiam, z jaką zręcznością posługują się siekierą oraz maczetą podczas ścinania twardej palmy chonta, z której robią deski służące między innymi za posłanie.

Podczas przycinania desek zostałem poproszony abym się położył. Początkowo nie wiedziałem, w jakim celu, dopiero aż mi pokazali, zrozumiałem, że chcą wziąć miarę, aby z dokładnością mojego wzrostu przyciąć

deski. Wszystko to odbywało się przy wybuchającym, co pewien czas śmiechu.

W końcu zabieramy przycięte deski i kierujemy się w kierunku domu, aby przygotować łóżka. Deski z chonta, kładzie się na oczyszczoną ziemię. Następnie położyłem plastik chroniący przed wilgocią a później śpiwór. Nad takim posłaniem jeszcze rozmieściłem moskitierę.

Przed ostatecznym położeniem się na spoczynek, tak jak zazwyczaj to bywa, Angel zaczyna śpiewać znane nam pieśni, którymi rozpoczynamy nasze modlitwy poranne czy wieczorne.

Z powodu upału, nie wchodzę do śpiwora. Widzę, że Angel również odczuwa ten straszny upał, dlatego też ściągnął podkoszulkę. To wykorzystał jeden z młodzieńców, który niejako przywłaszczył sobie tę podkoszulkę nakładając na siebie. Angel jednak powiedział: „BUTO QUI”, (czyli: to jest moje) – „buto

qui” ma charakter święty, zarówno dla dorosłych jak i młodszych czy dzieci. Chłopiec natychmiast oddał koszulkę.

Około pierwszej nad ranem, obudziła mnie potrzeba fizjologiczna. Kiedy otworzyłem oczy, nie miałem żadnej trudności rozeznania się, gdyż całe pomieszczenie było dość dobrze oświetlone nisko palącym się ogniem. Wyszedłem tylko na zewnątrz bez większego oddalania się od szałas. Kiedy już powtórnie położyłem się wygodnie do spania, nagle usłyszałem śpiew w rytmie litanii. Zacząłem się rozglądać, kierując wzrok w stronę skąd dochodziła melodia. Zauważyłem, że to Nenene, leżąc w hamaku i podkładając kawałki drewna do ognia, śpiewała coś w rodzaju litanii. Poczulem głęboki podziw...

Nastąpiła cisza, która trwała jakieś 2 godziny. Staruszka ponownie dołożyła drzewa do ognia a przy okazji zaczęła jeść upieczoną rybę. Podczas tych czynności zaczęła cichutko śpiewać modlitwę-litanię. Sądzę, że jej mąż,

towarzyszył w śpiewie, a już po chwili nawiązała się cicha rozmowa pomiędzy trzema starszymi osobami. Nie mogę stwierdzić, czy oni również coś jedli.

Zastanawiam się nad ich rytmem biologicznego odpoczynku. Sprawiają wrażenie, że tylko przysypiają. Co się przebudzę to oni się krzątają po szalasiu.

Tuż przed świtem ponownie usłyszałem ten sam śpiew. Angel zapewne też to słyszał, dlatego jako bardziej utalentowany muzycznie podchwycił melodię oraz słowa i nieśmiało pragnął przyłączyć się do chóru towarzysząc w śpiewie. Za każdym razem wywoływało to śmiech wśród mieszkańców. Pahua, chciała mu pomóc, ale to wywoływało jeszcze więcej śmiechu. Po tym wszystkim nastała cisza a na dworze już robiło się coraz jaśniej.

Powitanie

Nastał poranek, a dżungla jest spowita dość gęstą mgłą. Czas na poranną toaletę. Zabieram ze sobą mydło i pastę do zębów, ale oprócz

tego dobry kij, aby nim zmacić a raczej wybadać, czy czasami przy piaszczystym brzegu nie znajdują się tam żadna niebezpieczna ryba zwana „la raya”, która gdy ktoś niepostrzeżenie nadejście, zostanie ukłuty straszliwym kolcem-ogonem. Rana po takim ukłuciu jest bardzo bolesna i trudna do wyleczenia. Dana osoba gorączkuje, a skaleczone miejsce ropieje, babrze się przez bardzo długi okres czasu. Niektórzy mówią, że nawet do trzech miesięcy.

Podczas nakładania bielizny, trzeba bacznie zwracać uwagę, czy nie zakradła się do niej żadna olbrzymia mrówka zwana „la conga”. Ukąszenie takiej mrówki również jest bardzo bolesne, wywołujące silne temperatury ciała, które również puchnie do niewyobrażalnych rozmiarów. Takie ukąszenie potrafi nawet obezwładnić dorosłego człowieka przynajmniej na okres trzech dni.

Na zewnątrz szalasów panuje straszny upał. Popularnie mówimy, „żar leje się z nieba”. Brak jakiegokolwiek podmuchu wiatru. Leżymy sobie w hamakach i odpoczywamy. Nikt z nas nie ma ochoty na nic. W pewnym momencie Huane bacznie nasłuchuje, podnosząc się z hamaka, kieruje się w stronę wejścia do szalasu. Po pewnej chwili daje nam znak ręką abyśmy podeszli. Daje nam do zrozumienia, że przychodzi jeszcze jedna rodzina i zaprasza abyśmy wyszli z domu. Wszyscy wychodzimy. Huane wydaje charakterystyczne odgłosy odpowiadając na inne umowne nawoływania, które ja osobiście z wielkim trudem odróżniłem.

Po przywitaniu, Huane powiadamia ich o tym, co zaszło oraz o wszystkich innych wiadomościach. Takie powitanie powtarza się jeszcze dwa razy. Każda rodzina przynosi w siatkach sporą ilość jedzenia: ryby, małpy, ptaki czy też yukę, czyli maniok. Zdają sobie sprawę, że takie

odwiedziny to nie żadna wizyta na kilka godzin, tylko na parę dni. To samo powtórzyło się w taki sam sposób dnia następnego, kiedy przyszli inni krewni.

Wszystkim przybyłym rozdajemy prezenty, w postaci narzędzi do pracy, oraz garnków aluminiowych i blaszanych talerzy emaliowanych czy kubków, które przynieśliśmy ze sobą.

Tak jak każdego dnia, z chwilą jak zachodzi słońce, każdy znajduje się już w pobliżu swojego łóżka. Kładziemy się spać bardzo wcześnie. Ogień się żarzy dość dobrze.

W szalasach Huaoranis

Kiedy dzień już się kończy, kiedy słońce zachodzi za konarami wielkich drzew, zaczynamy gromadzić się przy domowym ognisku.

Siadamy sobie wygodnie na klockach, które służą za taborety, lub kładziemy się na hamakach i słuchamy opowiadań starszych jak i tych trochę młodszych huaoranis.

Od czasu do czasu ktoś podchodzi do ogniska i dokłada trochę drzewa. Płomienie ognia natychmiast się unosią oświetlając jeszcze bardziej cały szałas. W powietrzu unosi się zapach pieczonej ryby, która znajduje się ponadziewana na patyczki przy ognisku.

Starsi zaczynają wspominać i dzielić się ta temat ich codziennego życia. Ubolewają nad zachodzącymi zmianami: W obecnym czasie, niektóre rodziny chcą mieszkać w miastach.

Najmłodszy, zwłaszcza mężczyźni używają już obuwia, kobiety i osoby w podeszłym wieku nie chcą chodzić w obuwie i mówią, że boją ich nogi jak i stopy.

Mężczyźni huao po zawarciu małżeństwa przewidują sobie uszy, ale młodzież już

nie chce tego robić, powiadają, że ich boją uszy i że wychodzą im robaki.

„Misjonarze dali nam odzież, ale jak jesteśmy sami, w naszych boios (szalasach), na naszym terenie, chodzimy bez żadnych ubrań a tradycyjną ozdobą są wielkie okrągłe kołki z drzewa, jakby kolczyki, a kobiety dodatkowo ozdabiają się koralami zrobionymi z nasion pochodzących z różnych gatunków drzew. Jesteśmy zorganizowani w małe grupy rodzinne.

Tworzymy wspólnoty składające się z ośmiu czy dziesięciu rodzin.

Nasze domy zrobione są z desek z palmy chonta. Mamy również szkoły w naszych wspólnotach. W każdym domu mieszka jedna rodzina.

W każdej wspólnotcie mamy swego przywódcę (el bay).

Podstawą naszego utrzymania jest zbieractwo dzikich owoców, polowanie, łowienie ryb.

Utrzymujemy się również z uprawy. Każda rodzina posiada kilka małych działek, które uprawia w sposób cykliczny. Są zorganizowani w małe grupy rodzinne.

Jeśli chodzi o podział pracy to jest on wyraźnie zaznaczony; Codzienne zajęcia, którymi zajmują się Huao:

Mężczyźni polują między innymi, na różne gatunki małp np. chorongos i inne zwierzęta. M.in. guayusa, tapir, danta, sajino, na wiele gatunków ptaków.

W odpowiednich okresach roku organizują wspólne połowy ryb.

Obowiązkiem każdego mężczyzny jest również wycinka dżungli przygotowując teren pod działkę uprawną. Nie zaniedbuje się w produkcji broni takiej jak dzidy czy dmuchawy.

Kobiety gotują (przygotowują posiłki) uprawiają ogródek, opiekują się dziećmi i wyrabiają naczynia gliniane.

Ponadto kobiety wyplatają siatki z chambira (liści palmowych) jak i hamaki. Również robią dzidy i korale, aby je sprzedać.

Jedna z grup Huaoranis jest bardzo groźna i żyją zupełnie osobno - są nieosiągalni. To tagaeri. Mówią o nich, czerwone stopy, a to dlatego, że malują sobie stopy, aż do łydek na czerwono, używając achiote. Oni na swoim terenie nie akceptują żadnych „obcych”, czyli tych, którzy nie są z ich rasy, zabijają każdego dzidami, ponieważ bronią swojej ziemi, nie pozwalają, aby została im zabrana. Jest ich trochę ponad pięćdziesięciu. Pozostali z nas są bardzo ugodowi, dlatego tagaeri uważają również i nas za swoich nieprzyjaciół, i czasami chcą nas zabić.

W dzisiejszych czasach Huaoranis zostali zmuszeni żyć w rezerwacie, których teren został określony przez instytucje rządowe.

Ale również ten teren został przekazany przedsiębiorstwom naftowym, które spowodowały wejście na ten obszar metysom, spółkom drzewnym, które to przedsiębiorstwa drzewne zaczęły wycinać i wywozić wszystkie potężne drzewa. Ziemia Indian jest coraz bardziej niszczona i obnażana ze swego bogactwa.

Grabieżna gospodarka, niszczenie i wtargnięcie metysów i człowieka białego jest wielkim zagrożeniem dla przeżycia tej grupy Indian. Dlatego tak się bronią nawet zabijając w desperackim akcie każdego obcego.

Ta sytuacja spowodowała, że rodzina Tagaeri odłączyła się nawet od swoich braci i zagrozili zabiciem każdego, kto wejdzie na ich teren.



Foto z archiwum oo. Kapucynów: Kobieta i mężczyzna zabita przez Huaoranis.

Narodowość Huao lub Huaoranis, z których wywodzą się Tagaeri i Taromenani, są zaliczani do grup najbardziej wojowniczych, ponieważ pozbawili życia osoby, które

zamierzały wejść na tereny przez nich zajmowane.

Oni nienawidzą człowieka białego. Zabijają każdego, białego czy metysa, każdego, kto nie jest z ich plemienia, ponieważ bronią swojej ziemi, nie pozwalają, aby została im zabrana.

Mamy nasze pieśni i tańce. Wierzymy w Boga i Pana Jezusa, ale nie chodzimy do kościoła.

Nie lubimy jak wołają na nas Auca. Nie jesteśmy Auca tylko Huao, czyli osoby, ludzie. Jest nas około 1.000 Osób i zamieszkujemy obszar rozciągający się na północno zachodnim terenie Amazonii pomiędzy rzekami Napo i Curaray.

Mamy swój język, huaq tiriro. Młodzież mówi trochę i rozumie język hiszpański (castellano). Księża misjonarze nas nauczyli.

Sięgając pamięcią do lat 50-tych, część Huao zostało objętych opieką ewangelistów

pochodzących ze Stanów Zjednoczonych. Ten kontakt spowodował, że bardzo mocno przesiąknęli kulturą zachodnią. Niektórzy opanowali dodatkowo język castellano i angielski. Bardziej zdolnych i podatnych, wywożono do Stanów Zjednoczonych. Tam robiono z nich liderów misyjnych.

Była to działalność celowa i zamierzona. Chodziło wyłącznie o spacyfikowanie wszelkimi sposobami naszej rasy, aby móc eksploatować wszystkie zasoby naturalne znajdujące się na naszym terytorium.

Niektórzy mają imiona z angielskiego, ponieważ Ewangeliści nam je nadali.

Ewangeliści utworzyli centrum ewangelizacyjne, w Tigueno, w którym wszyscy tam przebywający jeszcze bardziej stawali się uzależnieni od Instytutu Lingvistico de Verano.

Rodziny mieszkające bardziej na wschodzie, poza zasięgiem ewangelizatorów, zachowali swą tradycyjną kulturę.

Huaorani, którzy uwolnili się a raczej odcięli od uzależnienia ewangelistów, już im było trudno wrócić do „swoich” wspólnot, dlatego zaczęli szukać pracy w spółkach naftowych i rolniczych. Również zajmują się sprzedażą swoich wyrobów: kosze, siatki, hamaki, korale, dmuchawy, jako cepelia na pobliskich targach miejskich. Prowadzą osiadły tryb życia. Swoje domy budują na styl domów „obcych”.

Huaorani wykazują bardzo głęboką znajomość dżungli. Przeciętnie znają cztery recepty na użycie jednej rośliny. Huaorani zostali przymuszeni do opuszczania swego terytorium i uciekania bardziej w głąb puszczy w poszukiwaniu zwierzyny. Przyczyną jest zajmowanie tych terenów przez spółki naftowe

oraz nowych osadników, którzy przyszli wraz z nafcjarzami.

W zamierzczłych czasach, Huaorani adorowali słońce oraz wodę.

Rzeka spełnia jedną z podstawowych i życiowych ról w życiu Huaorani. Wierzą, że rzeka wynagradza, ale i karci.

M i t

Z tym miejscem wiąże się pewne opowiadanie. Otóż: u ujścia Tiputini, mieszkał Indianin o nazwisku TAPUY. Prawie nikt nie pamięta jego imienia. Wszyscy znali go jako Sacharuna (dosł. Człowiek dżungli). Miał wzrok człowieka obłąkanego, poruszał się wolno, spokojny, tak jakby jakieś wydarzenie pomieszało mu zmysły.

Ale on nie urodził się taki. Był dzieckiem wesołym i żywotnym, które bawiło się razem ze swoimi braćmi, kuzynami i krewnymi, którzy mieszkali w wielkim tambo, które było ich wspólnym domem.

Jego rodzice wychodzili bardzo wcześnie zagłębiając się w dżunglę w poszukiwaniu i zbieraniu tak zwanego lecheguayo.

Pewnego dnia podszedł do chłopca pewien mężczyzna bardzo podobny do jego ojca i zabrał chłopca w głąb dżungli. Rodzina zmęczona poszukiwaniem zwróciła się do czarownika, który im powiedział, że dziecko zostało porwane przez sacha runa lub ducha (el espiritu del monte). Powiedział im, aby poszli i nacieli bardzo dużo cienkich lian i pozostawili je pozwijane w trudno dostępnych miejscach, którymi właśnie chodzi ten duch i kiedy się zaplącze w te liany nie ujdzie zbyt daleko. Kiedy rodzina wypełniła dokładnie polecenie, czarownik przygotował sobie i wypił wielką ilość napoju z ayahuasca i guanto.

Kiedy ponownie spotkali się, szaman wskazał im, że dziecko znajduje się nad brzegiem rzeki Tiputini, na drzewach guabilla, skacząc po ich gałęziach jak małpa.

Czarownik wyraźnie wyjaśnił (dokładnie powiedział im) jak mogą go złapać.

W miejscu wskazanym przez szamana znajdowała się krzycząca i skacząca małpa.

Kiedy ją chwycili, ona chciała ich ugryźć. Wtedy ojciec uderzył się bardzo mocno w nos, tak że zaczął krwawić i dał małpie, aby lizła tę krew. Małpa odzyskała formę ludzką, ale już nie całkowicie sprawność umysłową.

Przygotowanie na polowanie.

Do południa wszyscy dorośli i młodzież rozpoczęli przygotowania na polowanie. Dwaj mężczyźni chwycili swe pięknie zrobione dmuchawy, które miały około 2,5 metra długości i zostawili je w strategicznych miejscach w ogrodzie. Pozostali domownicy usadowili się wygodnie w dowolnie wybranych miejscach, aby móc obserwować rozpoczynające się polowanie na duże białe

ptaki, znacznie większe od gołębi, które nazywają „Yubuij”.

Przez długi czas latały w okolicy szałasów siadając na wierzchołkach wysokich drzew, będąc poza zasięgiem dmuchaw. Teraz, kiedy zaczęły siadać wśród zarośli, nadarzyła się okazja, aby je upolować.

Dmuchawy (cerbatanas): stanowią jedną z broni, których używają m.in. do polowania. Ale też muszę stwierdzić, że po mału zostaje wypierana przez strzelby, które zdobywają od pracowników ze Spółek Naftowych.

O. Kajetan Sahlke SVD